

Urodziny infantki



OSCAR WILDE

Urodziny infantki

TŁUM. MAŁGORZATA ZAJĄC

Był to dzień urodzin infantki. Miała dopiero dwanaście lat, a słońce mocno świeciło w pałacowych ogrodach. Mimo że była prawdziwą księżniczką i hiszpańską infantką, urodziny obchodziła tylko raz w roku, tak samo jak dzieci z biednych domów. Dlatego sprawą wagi państwowej było, żeby ten dzień uczynić wspaniałym. I rzeczywiście był on wspaniały. Piasiste tulipany stały na baczność, trzymając wysoko główki niczym długie szeregi wojska. Spoglądając wyzywająco na róże, które rosły nieopodal, powiedziały:

— Jesteśmy teraz równie doskonałe jak wy.

Fioletowe motyle trzepotały pokrytymi złotym pyłem skrzydłami i odwiedzały wszystkie kwiatki; jaszczurki wypełzły ze szczelin muru i wylegiwały się w złocistym blasku słońca; granaty z gorącą pękły na pół, odsłaniając krwawoczerwone serca. Nawet bładożółte cytryny obficie zwisające z próchniejącego treliazu¹ i drzewek rosnących wzdłuż ciemnych arkad nabierały od słońca głębszego blasku, a magnolie otwierały piękne alabastrowe pąki i wypełniały powietrze słodkim, ciężkim zapachem.

Tymczasem księżniczka przechadzała się po tarasie ze swoimi towarzyszami i bawiła się w chowanego pośród kamiennych waz i starych, porośniętych mchem posągów. Zazwyczaj mogła przebywać tylko z dziećmi równego rodu, a że brak było takich w królestwie, zawsze musiała bawić się sama. Urodziny były jednak dniem wyjątkowym i król zarządził, żeby księżniczka zaprosiła do wspólnej zabawy tylu przyjaciół, ilu zechce. Szczupłe hiszpańskie dzieci poruszały się z dostojną gracją. Chłopcy mieli zdobione piórami kapelusze i krótkie płaszcze, a dziewczynki unosiły rąbki długich, przetykanych złotymi nici sukien i osłaniały się przed słońcem dużymi, czarno-srebrnymi wachlarzami. Ale z nich wszystkich to infantka miała najwięcej gracji. Ubrana była z przepychem, jak nakazywała ówczesna moda: suknia wykonana była z szarej satyny, spódnicę i bufiaste rękawy ozdobiono srebrem, a sztywny gorset wysadzany był wspaniałymi perłami. Kiedy szła, spod sukni wyglądały dwa pantofelki z różowymi rozetkami. W ręku trzymała wielki perloworóżowy wachlarz, a we włosy, które niczym sztywna złota aureola otaczały jej bladą twarzyczkę, wpiętą miała przepiękną białą różę.

Przygnębiony król obserwował dzieci z pałacowego okna. Za nim stał jego brat don Pedro, książę Aragonii, którego nienawidził, a u boku króla siedział jego spowiednik, Wielki Inkwizytor z Granady. Król był jeszcze smutniejszy niż zwykle, bo gdy patrzył, jak infantka z dziecięcą powagą kłania się zgromadzonym poddanym albo jak zasłania wachlarzem twarz, śmiejąc się z nieodstępującej jej na krok ponurej księżnej Albuquerque, przypominała mu się młoda królowa, matka księżniczki. Wydawało się — przynajmniej jemu — że tak niedawno przybyła z radosnej Francji i zmizerniała w posępnym splendorze hiszpańskiego dworu. Zmarła sześć miesięcy po urodzeniu dziecka, zanim jeszcze mogła zobaczyć, jak w sadzie dwukrotnie zakwitają migdałowce, zanim mogła zrywać owoce z sękatych figowców stojących na środku porośniętego teraz trawą dziedzińca. Jego miłość do niej była tak wielka, że nie mógł nawet znieść myśli o złożeniu jej do grobu. Została zabalsamowana przez mauretańskiego lekarza. Za tę usługę lekarzowi obiecano darowanie życia, które — jak mówiono — za herezję i podejrzenie o czary było na łasce Świętego Oficjum. Ciało królowej nadal leżało na przykrytym kirem katafalku w komnacie z czarnego marmuru, zupełnie jak dwanaście lat temu, kiedy pewnego wietrznego

Dwór

¹treliaz — rodzaj płotu, konstrukcja służąca do podtrzymywania roślin ogrodowych. [przypis edytorski]

marcowego dnia wnieśli ją do pałacu mnisi. Każdego miesiąca król, owinięty w ciemne szaty, z przysłoniętą latarnią w ręku, klęczał przy jej boku, wołając: „*Mi reina! Mi reina*”²! Czasem nawet, łamiąc zasady etykiety, które w Hiszpanii regulują wszystkie dziedziny życia i stawiają granice nawet królewskiej żalobie, w rozpaczycy ścisnął blade, ozdobione biżuterią dłonie, próbując obudzić zimne oblicze szaleńczymi pocałunkami.

Tego dnia wydawało mu się, że znów ją widzi, tak jak gdy ujrzał ją pierwszy raz w zamku w Fontainebleau, kiedy miał piętnaście lat, a ona jeszcze mniej. Po zaręczynach, które w obecności króla Francji i jego dworu poświadczył papieski nuncjusz, wrócił do Escorialu z puklem złotych włosów i wspomnieniem dziecięcych ust całujących jego rękę w chwili, kiedy wsiadał do karety. Później nastąpił ślub, pośpiesznie odprawiony w przygranicznym miasteczku Burgos, uroczysty przejazd ulicami Madrytu, tradycyjna suma w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej z Atochy i bardziej podniosłe niż zazwyczaj *auto-da-fé*³, podczas którego niemal trzystu heretyków, w tym wielu Anglików, przekazano władzy świeckiej na spalenie.

Niewątpliwie kochał ją do szaleństwa; szaleństwa, które, jak wielu uważało, doprowadziło kraj do ruiny w czasie wojny z Anglią o posiadłości w Nowym Świecie. Prawie nie pozwalał jej choć na chwilę zniknąć z oczu. Dla niej zapominał — a przynajmniej tak się wydawało — o wszystkich najpoważniejszych sprawach państwowych. W zaślepieniu, które dotyka sługi namiętności, nie zauważył, że wszystkie uroczystości, którymi próbował sprawić jej przyjemność, jedynie pogarszały jej stan. Kiedy zmarła, przez pewien czas był jak człowiek pozbawiony rozumu. Z pewnością byłby abdykował i wstąpił do wielkiego klasztoru trapistów w Grenadzie (którego był zresztą tytularnym przeorem), gdyby nie strach przed zostawieniem infantki na łasce brata, który w Hiszpanii słynął z okrucieństwa i którego wielu podejrzewało, że przyczynił się do śmierci królowej, darując jej zatrute rękawiczki, kiedy go odwiedziła w jego zamku w Aragonii. Nawet po trzech latach żaloby państwowej, którą zarządził edyktem królewskim, nie chciał słuchać ministrów, kiedy go namawiali do kolejnego małżeństwa. Gdy sam cesarz zaproponował mu rękę swej siostrzenicy, uroczej arcyksiężnej Czech, w odpowiedzi usłyszał, że król Hiszpanii został poślubiony rozpaczycy i choć związek ich jest jałowy, kocha ją bardziej niż piękno. Słowa te drogo kosztowały króla, gdyż utracił przez nie bogate niderlandzkie prowincje, które niedługo później, za namową cesarza i pod przewodnictwem fanatyków z Kościoła Reformowanego, zbuntowały się przeciwko niemu.

Kiedy tak patrzył na infantkę bawiącą się na tarasie, przed oczami stały mu wypełnione uciechami kolorowe lata małżeństwa i tak bolesny, niespodziewany koniec. Księżniczka miała w sobie wdzięk królowej, podobnie nonszalancko zarzucała głowę, miała takie same dumne usta i ten sam wspaniały uśmiech — *vrai sourire de France*⁴ — kiedy spoglądała ku stojącemu w oknie ojcu lub podawała rękę dostojnym hiszpańskim szlachcicom. Jednak piskliwy śmiech dzieci przeszywał jego uszy, bezlitosne słońce szydziło z jego smutku, a przytłumiony zapach niezwykłych ziół używanych przy balsamowaniu skalał (a może tak mu się tylko wydawało?) świeże poranne powietrze. Ukrył twarz w dłoniach, a kiedy infantka podniosła głowę, zasłony były już zaciągnięte — król się oddalił.

Wzruszyła ramionami i wyduła usta w grymasie rozczarowania. Przecież mógłby z nią zostać w jej urodziny. Co znaczyły jakieś głupie sprawy państwowe? A może poszedł do tej ponurej komnaty, w której zawsze paliły się świece i do której zakazano jej wchodzić? Jakie to niemądre, kiedy słońce świeci tak mocno i wszyscy są tacy szczęśliwi! Poza tym przegapi zapowiedzianą właśnie sygnałem trąbki udawaną walkę byków, nie mówiąc o występie marionetek i innych cudach. Stryj i Wielki Inkwizytor wykazali więcej rozsądku: wyszli na taras i prawili jej komplementy. Zarzuciła piękną główką i, chwyciwszy stryja za rękę, powoli zesła schodami w stronę długiego pawilonu z fioletowego jedwabiu, wzniesionego na końcu ogrodu. Za nią w ściśle ustalonej kolejności podążyła reszta dzieci — pierwszeństwo mieli ci z najdłuższymi tytułami.

²*mi reina* (hiszp.) — moja królowo. [przypis edytorski]

³*auto-da-fé* (port.) — akt wiary. Była to deklaracja przyjęcia lub odrzucenia religii katolickiej w procesie inkwizycyjnym; poprzedzała wykonanie wyroku. [przypis edytorski]

⁴*vrai sourire de France* (fr.) — prawdziwy uśmiech Francji. [przypis edytorski]

Młodzi szlachcice w przebraniach torreadorów wyszli, żeby ją powitać, a młody hrabia z Tierra Nuevy, niezwykle przystojny czternastolatek, z wdziękiem właściwym hiszpańskiemu szlachcicowi i arystokracji zdjął kapelusz i dostojnie poprowadził ją do niewielkiego, połączanego fotela z kości słoniowej umieszczonego na podeście nad areną. Dookoła zgromadziły się dzieci: chłodziły się wielkimi wachlarzami i szeptały między sobą. Przy wejściu, śmiejąc się, stali don Pedro i Wielki Inkwizytor. Nawet księżna nazywana *camarera mayor*⁵ — szczupła kobieta o ostrych rysach twarzy — wyglądała o wiele łagodniej niż zazwyczaj i jakby chłodny uśmiech przemknął przez jej twarz, poruszając cienkie, blade usta.

Walka byków była przewspañiała. Dużo lepsza, myślała infantka, niż prawdziwe walki, które widziała w Sewilli z okazji przyjazdu księcia Parmy. Niektórzy chłopcy brykali na drewnianych konikach, okrytych bogato strojonymi tkaninami, a w rękach trzymali długie włócznie z kolorowymi wstążkami. Inni szli pieszo, machając swymi szkarłatnymi płaszczami, aby rozdrażnić byka, a kiedy byk na nich szarżował, przeskakiwali przez barierkę. Byk, mimo że wiklinowy i obleczony skórą, wyglądał jak prawdziwy i od czasu do czasu wspinał się nawet na tylne nogi i biegał tak po arenie, o czym żaden żywy byk nie mógłby nawet marzyć. Walczył tak wspaniale, że podekscytowane dzieci stawały na ławkach i machając koronkowymi chustkami krzyczały: „*Bravo toro! Bravo toro!*”⁶ w dowód uznania dla spektaklu, pokazując, że gustem nie ustępują dorosłym widzom.

W końcu po długiej walce, w trakcie której kilka drewnianych koników zostało przebitych rogami, a ich jeźdźcy zrzuceni, młody hrabia z Tierra Nuevy powalił byka i — uzyskawszy od infantki pozwolenie na zadanie ostatecznego ciosu — wbił drewniany miecz w szyję zwierzęcia z taką gwałtownością, że odpadła mu głowa i wszystkim ukazała się uśmiechnięta twarz małego panicza de Lorraine, syna francuskiego ambasadora w Madrycie.

Uczestnicy pokazu opuścili arenę żegnani oklaskami, a martwe koniki zostały uroczyście odciągnięte przez dwóch mauretańskich paziów w czarno-żółtych liberiach. Po krótkiej przerwie, podczas której francuski akrobata chodził po linie, wystąpiły włoskie marionetki w półklasycznej tragedii o Sofonisbie⁷ na scenie małego teatru zbudowanego specjalnie w tym celu. Grały bardzo przekonująco, a ich gesty były tak niezwykle naturalne, że na koniec ostatniego aktu oczy infantki były pełne łez. Niektóre dzieci rozpaczliwie płakały i musiano uspokajać je słodyczami. Nawet Wielki Inkwizytor był poruszony do tego stopnia, że wyraził ubolewanie, iż przedmioty z drewna i kolorowego wosku poruszane drucikami mogą być tak nieszczęśliwe i doświadczać tak okrutnego losu.

Następnie wystąpił kuglarz z Afryki, który przyniósł ze sobą duży, płaski koszyk zasłonięty czerwoną materią. Umieściwszy go na środku areny, wyjął z turbanu przedziwny trzciniowy flet i zaczął grać. Po chwili materiał poruszył się i gdy dźwięki fletu stawały się coraz bardziej piskliwe, dwa złotozielone węże wychyliły trójkątne głowy i zaczęły się powoli podnosić, kołysząc się z boku na bok w rytm muzyki, tak jak roślina kołysze się na wodzie. Jednak dzieci bały się ich nakrapianych kapturów i szybko migających języków, i bardziej oczarowało je, gdy kuglarz sprawił, że z piasku wyrosło małe drzewo pomarańczowe z białymi pąkami i prawdziwymi owocami. A kiedy zmienił wachlarz córeczki markiza de Las Torres w drozda, który okrążył pawilon i zaśpiewał, wszyscy aż oniemieli z zachwytu. Majestatyczny menuet w wykonaniu chłopców z kościoła pod wezwaniem Matki Bożej z Pilar również był uroczy. Infantka nigdy wcześniej nie widziała uroczystości, która odbywa się co roku w maju przed ołtarzem głównym Matki Bożej w holdzie dla niej — nikt z hiszpańskiej rodziny królewskiej nie odwiedzał katedry w Saragossie od czasu, gdy szalony ksiądz, prawdopodobnie przekupiony przez Elżbietę I, próbował podać Księżciu Asturii zatruty komunikant⁸. Dlatego księżniczka tylko z opowieści знаła przepiękny „Taniec Najświętszej Pani”.

Chłopcy mieli na sobie dworskie szaty z białego jedwabiu, a na głowach przedziwne trójgraniaste kapelusze ozdobione srebrem i strusimi piórami. Kiedy tak kroczyli w pro-

⁵camarera mayor (hiszp.) — ochmistrzyń na dworze królewskim. [przypis edytorski]

⁶bravo toro (hiszp.) — dzielny byk. [przypis edytorski]

⁷Sofonisba — sztuka teatralna renesansowego włoskiego poety i dramaturga Giana Giorgia Trissina, opowiadająca o córce wodza kartagińskiego Hazdrubala. [przypis edytorski]

⁸komunikant — hostia. [przypis edytorski]

mieniach słońca, olśniewająca biel strojów kontrastowała z ich śniadą karnacją i czarnymi włosami. Widzowie patrzyli zafascynowani na dostojność, z jakim prezentowali wymyślne figury tańca, na grację ich gestów i eleganckie ukłony. Po występie infantka z wielką uprzejmością podziękowała im za nabożny rytuał i przysięgła, że prześle dużą woskową świecę do kościoła Matki Bożej z Pilar jako wyraz wdzięczności za sprawioną jej radość.

Na arenę weszła grupa pięknych Egipcjan (jak wtedy nazywano Cyganów). Usiedli kręgiem po turecku i zaczęli delikatnie grać na cytrach, kołysząc się w rytm muzyki i nucąc niskim głosem senną melodię. Kiedy ujrzeli don Pedra, ich czoła zmarszczyły się w gniewie. Niektórzy wyglądali na przerażonych, ponieważ zaledwie parę tygodni wcześniej Don Pedro powiesił dwóch z ich ludu na rynku w Sewilli za uprawianie czarów. Ale kiedy śliczna infantka oparła się na tronie i zerknęła zza wachlarza dużymi niebieskimi oczami, byli nią oczarowani i pewni, że ktoś tak uroczy nie może być okrutny. Więc grali, delikatnie uderzając długimi, ostrymi paznokciami o struny, a ich głowy kiwały się, jakby mieli zasnąć. Nagle z przeszywającym krzykiem, który wystraszył dzieci i sprawił, że ręka don Pedra zacisnęła się na wysadzonej agatem rękojeści sztyletu, Cyganie poderwali się w górę i zaczęli szaleńczo wirować, uderzając w tamburyny i śpiewając dziką pieśń miłosną w swym dziwnym, gardłowym języku. Na kolejny sygnał rzucili się na ziemię i leżeli nieruchomo, a ciszę przerywał tylko dźwięk cytry. Powtórzyli to parę razy, po czym zniknęli na chwilę i powrócili, prowadząc na łańcuchu brązowego, kudłatego niedźwiedzia, a na ramionach niosąc małpki. Niedźwiedź dostojnie stanął na głowie, a pomarszczone małpki razem z dwoma cygańskimi chłopcami, najpewniej ich opiekunami, wykonywały zabawne sztuczki: walczyły szabelkami, strzelały z armat i ćwiczyły musztrę zupełnie jak straż królewska. Występ Cyganów okazał się ogromnym sukcesem.

Ale ze wszystkich porannych rozrywek najzabawniejszą był bez wątpienia taniec karzełka. Kiedy wszedł na arenę, potykając się o swoje krzywe nogi i kręcąc ogromną, zdeformowaną głową, dzieci zaczęły krzyczeć z uciechy i nawet infantka śmiała się tak głośno, że camarera zmuszona była przypomnieć jej, iż choć wielokrotnie bywało, że hiszpańska księżniczka płakała wobec równych sobie, to jeszcze nie zdarzyło się, by księżniczka, w której żyłach płynie królewska krew, tak swobodnie weseliła się pośród osób niższego stanu. Lecz trudno było się oprzeć karłowi i nawet na dworze hiszpańskim, słynącym z zamiłowania do okropieństw, nigdy nie widziano tak niezwyklej szkarady. To był jego pierwszy występ. Zaledwie dzień wcześniej schwytało go dwóch szlachciców polujących w odległym zakątku dębowego lasu otaczającego miasto. Zauważyli, jak biega po lesie i przynieśli go do pałacu jako niespodziankę dla infantki. Jego ojciec, ubogi węglarz, ucieszył się, że może pozbyć się tak brzydkiego i nieprzydatnego dziecka. Najzabawniejsze w karle było to, że nawet nie zdawał sobie sprawy ze swojego groteskowego wyglądu. Co więcej, wydawał się być szczęśliwy i pogodny. Kiedy dzieci się śmiały, śmiał się równie swobodnie i radośnie jak one. Na zakończenie każdego tańca kłaniał się wszystkim w przezabawny sposób, uśmiechając się i kiwając głową, zupełnie jakby był jednym z nich, a nie zdeformowanym dziwactwem, wybrykiem natury stworzonym, by inni mieli co wyśmiewać. Infantka zaś całkiem go oczarowała. Nie mógł oderwać od niej wzroku i wydawało się, że tańczy tylko dla niej. Na koniec występu, pamiętając, jak damy dworu rzucały kwiaty Caffarellemu, sławnemu sopranie włoskiemu, którego papież przysłał do Madrytu, by jego słodki głos uleczył smutek króla, infantka wyjęła z włosów prześliczną białą różę i trochę dla żartu, a trochę żeby podrażnić camarerę, rzuciła ją na arenę z uroczym uśmiechem. Karzeł potraktował ten gest z najwyższą powagą. Przycisnął kwiat do szerokich, nieforemnych ust, położył rękę na sercu i z promiennym uśmiechem i błyszczącymi od radości oczami uklęknął przed nią.

To sprawiło, że infantka nie umiała dłużej zachować powagi i śmiała się jeszcze długo po tym, jak karzełek wybiegł z areny; poprosiła stryja, żeby taniec został bezzwłocznie powtórzony. Jednak camarera uznała, że jest za gorąco i Jej Wysokość powinna natychmiast powrócić do pałacu, w którym przygotowano wspaniałą ucztę na jej cześć. Zrobiono nawet tort urodzinowy, na którym kolorowym lukrem wypisano inicjały infantki, a najwyższą warstwę udekorowano cudną srebrną flagą. Infantka dostojnie powstała, nakazała, żeby karzełek zatańczył dla niej jeszcze raz po sjeście, podziękowała młodemu hrabiemu

z Tierra Nuevy za uroczę przyjęcie i wróciła na pokoje, a za nią podążyły dzieci w takiej samej kolejności, w jakiej weszły.

Kiedy karzełek usłyszał, że jeszcze raz ma zatańczyć przed infantką i to na jej życzenie, był tak dumny, że wybiegł do ogrodu, na przemian całując z przejęciem białą różę i radośnie wymachując rękami.

Kwiaty były oburzone, że ktoś śmiał wejść do ich pięknego domu, a kiedy zobaczyły, jak żałośnie podskakiwał i wymachiwał rękami nad głową, nie mogły dłużej pohamować emocji.

— Doprawdy, jest zbyt brzydki, żeby bawić się przy nas — złościły się tulipany.

— Powinien wypić makowego wywaru i usnąć na tysiąc lat — powiedziały szkarłatne lilie, rozdrażnione upałem.

— Co za okropieństwo! — krzyczał kaktus. — Cały jest powykręcany i przysadzisty, a jego głowa jest nieproporcjonalnie duża w stosunku do nóg. Tak mnie drażni, że jeśli tylko do mnie podejdziesz, ukłuję go cierniem.

— I do tego ma jeden z mych najlepszych kwiatów! — wykrzyknął krzew różany. — Tę różę dałem dziś infantce z okazji urodzin, a on ją ukradł. Złodziej, złodziej, złodziej!

Nawet pelargonie, które zazwyczaj nie wywyższały się, przyzwyczajone, że inni traktowali je jak ubogie krewnie, wzdrygnęły się z obrzydzenia na jego widok. A gdy fiołki nieśmiało zauważyły, że choć bynajmniej nie grzeszy urodą, to przecież nie jego to wina, pelargonie odpowiedziały, że to właśnie jest jego główną wadą, a to, że ktoś jest nieuleczalnie chory, nie znaczy od razu, że trzeba go podziwiać. Nawet dla niektórych fiołków brzydota karzełka była wręcz ostentacyjna i uznały, że zrobiłby taktowniej, gdyby choć przybrał wygląd smutny, albo przynajmniej melancholijny, zamiast tak wesoło podskakiwać i tak dziecinnie się cieszyć.

Stary zegar słoneczny, niezwykle osobnik, który raz pokazał godzinę samemu cesarzowi Karolowi V, był tak skonsternowany wyglądem karzełka, że prawie zapomniał wskazać swym długim, cienistym palcem, że upłynęły całe dwie minuty. Nie mogąc się powstrzymać, powiedział mlecznobiałemu pawiowi, który wygrzewał się w słońcu siedząc na balustradzie, że każdy wie, iż dzieci królów wyrastają na królów, a dzieci węglarzy zostają węglarzami i absurdem byłoby zaprzeczanie temu stanowi rzeczy. Paw, który całkowicie zgadzał się z tym stwierdzeniem, głośnym, ostrym tonem krzyknął:

— Zdecydowanie, zdecydowanie — aż złote rybki mieszkające na dnie fontanny wypłynęły na powierzchnię i pytały kamienne trytony, co takiego się dzieje.

Ale ptaki z jakiegoś powodu lubiły karzełka. Często widywały, jak w lesie tańczył niczym elf, naśladując wir liści na wietrze, i jak kuczał w cieniu starego dębu, częstując wiewiórki orzechami. Ani trochę nie przeszkadzała im jego brzydota. Przecież nawet sam słowik, który co noc w gaju pomarańczowym śpiewał tak pięknie, że czasem księżyc pochylał się, by go słuchać, nie grzeszył urodą. Poza tym karzełek był dla nich dobry i podczas srogiej zimy, gdy drzewa nie miały owoców, ziemia była skuta lodem, a wilki zbliżały się do bram miasta w poszukiwaniu jedzenia, on nigdy o nich nie zapominał. Zawsze dawał im okruchy z pajdy czarnego chleba i dzielił się swoim skromnym śniadaniem.

Latały wokół niego, muskając skrzydłami jego policzki i świergotały między sobą, a karzełek cieszył się tak bardzo, że pokazał im przepiękną białą różę i powiedział, że dostał ją od infantki w dowód miłości.

Nie zrozumiały ani słowa z tego, co powiedział, ale nie miało to znaczenia, bo przechylały głowy na bok z mądrymi minami, co jest niemal równie dobre jak rozumienie sprawy, ale dużo prostsze.

Jaszczurki także od razu go polubiły i kiedy zmęczony się bieganiem i położył na trawie, żeby odpocząć, próbowały go zabawić najlepiej jak potrafiły, harcując tuż przy jego boku.

— Nie każdy może być tak piękny jak jaszczurki — zawołały. — Nie można wymagać zbyt wiele. I choć zabrzmi to dziwnie, on koniec końców nie jest taki brzydki. Wystarczy tylko zamknąć oczy i nie patrzeć na niego.

Jaszczurki miały niezwykle myślicielską naturę i często godzinami filozofowały, kiedy nie było co robić albo kiedy padało i nie mogły wyjść na zewnątrz. Kwiatom jednak nie spodobała się ich reakcja, tak samo jak reakcja ptaków.

— To jedynie dowodzi — powiedziały — do jakiej wulgarności doprowadza ten ciągły ruch. Osoby dobrze wychowane zawsze pozostają w tym samym miejscu, tak jak my. Nikt nie widział, żebyśmy skakały po alejkach albo szaleńczo uganiały się za ważkami w trawie. Kiedy potrzebujemy zmiany otoczenia, ślemy po ogrodnika, a on zanosz nas do innego kwietnika. Tak właśnie powinno to wyglądać — dostojnie. Ale ptaki i jaszczurki nie znają się na odpoczynku. Ba, ptaki nie mają nawet stałego adresu! To zwykli włóczędzy, nieróżniący się niczym od Cyganów i tak samo jak oni powinni być traktowani.

Wyniosłe zadarły nosy i odetchnęły z ulgą, kiedy po pewnym czasie zobaczyły, jak karzełek zrywa się z trawy i przechodzi przez taras do pałacu.

— Powinno się go trzymać w zamknięciu do końca życia — mówiły.

— Popatrzcie tylko na jego garb i krzywe nogi — chichotały.

Ale karzełek nie miał o tym wszystkim pojęcia. Niezwykle podobały mu się ptaki i jaszczurki, a kwiaty uznawał za najcudowniejsze stworzenia na całym świecie, oczywiście z wyjątkiem infantki, która podarowała mu białą różę i kochała go, a to czyniło ogromną różnicę. Jakże pragnął do niej wrócić! Posadziłaby go po swojej prawej stronie, uśmiechnęłaby się do niego, a on nigdy by jej nie opuścił. Bawiliby się razem i nauczyłby ją przeróżnych wspaniałych sztuczek. Bo choć nigdy wcześniej nie był w pałacu, znał się na wielu cudownych rzeczach. Potrafił budować z sitowia klatki, w których śpiewały pasikoniki; potrafił z długich bambusowych rurek zrobić fletnię, ulubiony instrument bożka Pana. Umiał rozpoznać każdego ptaka po śpiewie i wiedział jak przywołać szpaki ze szczytu drzewa i czaple znad jeziora. Potrafił rozpoznać ślady wszystkich zwierząt: zająca mógł wysledzić po ledwie widocznych tropach, dzika po zdeptanych liściach. I te wszystkie dzikie tańce, które znał: szaleńczy taniec w czerwonych szatach z jesienią; lekki taniec w niebieskich sandałach wśród zbóż; taniec ze śnieżnobiałymi wieńcami zimą; wiosenny taniec, od którego kwitły drzewa w sadzie. Wiedział, gdzie gołębie budują gniazda, a raz, kiedy myśliwy złapał parkę ptaków, on sam odchowwał osieroczone pisklęta i zbudował dla nich gołębnik pomiędzy konarami przyciętego wiązu. Były całkiem oswojone, każdego ranka karmił je z ręki. Spodobałyby się jej, tak samo jak króliki kicające wśród paproci, i sójki z piórami jak ze stali i czarnymi dziobami, i jeże zwiijające się w kolczastą kulkę, i mądre żółwie, które powoli skubały młode listki i nigdy się nie spieszyły. O tak, koniecznie musi odwiedzić go w lesie i bawić się z nim. Dałby jej własne łóżko i czuwałby za oknem aż do świtu, pilnując, żeby dzikie bydło nie skrzywdziło jej rogami, a wygłodniałe wilki nie zbliżyły się do chaty. O świcie obudziłby ją stukaniem w okiennice i tańczyliby na zewnątrz przez cały dzień. Tak naprawdę w lesie nigdy nie dokuczała samotność. Czasem biskup przejeżdżał na białym mule, głośno czytając z malowanej księgi. Czasem przechodzili sokolnicy w zielonych aksamitnych czapkach i kamizelkach z wygarbowanej jeleniej skóry, trzymając zakapturzone sokoły na nadgarstkach. Z początkiem winobrania przybywali ludzie do deptania winogron. Ich dłonie i stopy były fioletowe, na głowach mieli wieńce z lśniącego bluszczu i nieśli ze sobą bukłaki, z których kapło wino. Węglarze siadali nocą przy ogromnych paleniskach, patrząc, jak powoli pali się drewno i jak kasztany pieką się w popiele. Z jaskiń wychodzili wtedy rozbójnicy, dosiadali się do nich i wszyscy razem świetnie się bawili. Innym razem widział wspaniałą procesję kroczącą przez długą, pokrytą kurzem drogę do Toledo. Z przodu szli mnisi, którzy śpiewając pięknie, nieśli jasne chorągwie i złote krzyże, a później ukazali się z pikami i muszkietami żołnierze w srebrzystych zbrojach. Pomiędzy nimi szli boso trzej mężczyźni. W rękach mieli zapalone świece, a ubrani byli w przedziwne żółte suknie, na których namalowane były cudowne figury. Wiele można było ujrzeć w lesie, a kiedy infantka byłaby zmęczona, znalazłby dla niej miękkie łóżko z mchu albo wziąłby ją w swe ramiona, bo choć wiedział, że nie jest wysoki, bez wątpienia był silny. Zrobiłby jej czerwony naszyjnik z jarzębiny, tak piękny, jak ten, który miała na sobie, a gdyby jej się znudził, mogłaby go wyrzucić, a on zrobiłby nowy. Przynosiłby jej łupiny żółędzi, mokre od rosy zawilce i malutkie świetliki, które świeciłyby niczym gwiazdy w jej bladozłotych włosach.

Ale gdzie ona się podziała? Spytał białej róży, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Pałac pograżony był we śnie i nawet tam, gdzie okiennice były otwarte, ciężkie zasłony chroniły okna przed wścibskimi spojrzzeniami. Długo szukał wejścia, aż zauważył niewielkie drzwi otwarte na oścież. Wślizgnął się do środka i znalazł się we wspaniałej sali, o wiele wspanialszej — pomyślał z obawą — niż las. Wszystko tu było połączane, nawet z podłogi

błyskały kolorowe kamienie, ułożone w przeróżne kształty. Ale nie było tu małej infantki, tylko piękne białe posagi, które spoglądały na niego z jaspisowych cokołów. Ich oczy były smutne i puste, a usta wykrzywione w dziwnym uśmiechu.

Na samym końcu sali wisiała bogato zdobiona kurtyna z czarnego aksamitu, udekorowana słońcami i gwiazdami: ulubionymi emblematami króla wyhaftowanymi na jego ulubionym kolorze. Może chowała się za kurtyną? Musiał sprawdzić.

Cicho zakradł się do krańca kurtyny i odsłonił ją. Nie, był tam tylko kolejny pokój, nawet ładniejszy, pomyślał, niż ten, który przed chwilą opuścił. Na ścianach wisiały zielone, utkane igłą arraszy przedstawiające polowanie — dzieło flamandzkich artystów, którym stworzenie tej kompozycji zajęło siedem lat. Była to kiedyś komnata Jana Szalonego — króla, który tak kochał polowania, że w napadach obłądu często próbował dosiadać ogromnych, wierzgających koni, a wytropiwszy jelenia, którego dopadły psy gończe, dał w róg myśliwski i wbijał sztylet w umykające zwierzę. Teraz była to sala obrad ze stołem, na którym leżały czerwone teczki ministrów, każda z pieczęcią Hiszpanii w kształcie złotych tulipanów oraz herbami i godłem Habsburgów.

Karzelek z zachwytem rozglądał się dookoła i trochę bał się iść dalej. Przedziwni milczący jeźdźcy, tak chyżo i bezdźwięcznie galopujący przez polany, przypominali mu okropne zjawy, o których kiedyś mówili węglarze. Comprachos⁹ polowali tylko nocą, a kiedy napotykali człowieka, zmieniali go w łanię i ścigali. Ale myśl o pięknej infantce dodała mu odwagi. Chciał ją sam odnaleźć i powiedzieć, że też ją kocha. Być może była w następnej komnacie.

Przebiegł po mauretańskich dywanach i otworzył drzwi. Nie! Tu również jej nie było. Pokój był całkiem pusty.

Była to sala tronowa, w której podejmowano zagranicznych ambasadorów, gdy król, ostatnio nieczęsto, przyjmował ich na audiencje. To w tym właśnie pokoju wiele lat temu pojawili się angielscy posłannicy, żeby uzgodnić małżeństwo pomiędzy ich królową, wówczas należąca do katolickich władców Europy, a najstarszym synem cesarza. Kotary wykonane były z pozłacanej skóry, a z biało-czarnego sufitu zwisał złożony żyrandol z trzystoma woskowymi świecami. Pod wspaniałym złotym baldachimem, na którym wyszyto perelkami lwy i kastyljskie wieże, stał tron pokryty kirem z czarnego aksamitu, usiany srebrnymi tulipanami i misternie obszyty srebrem i perłami. Na drugim stopniu prowadzącym do tronu stał klęcznik infantki z poduszczką wykonaną ze srebrnej tkaniny, a nieco niżej, już poza baldachimem, stało krzesło nuncjusza papieskiego, który jako jedyny miał prawo siadać w obecności króla podczas publicznych uroczystości. Przed krzesłem na fioletowym taborecie leżał kardynalski kapelusz ze splecionymi szkarłatnymi frędzlami. Na ścianie naprzeciwko tronu wisiał naturalnej wielkości obraz Karola V w stroju do polowania i z dużym psem u boku, natomiast całą drugą ścianę zajmował obraz przedstawiający Filipa II przyjmującego hołd Niderlandów. Między oknami stał hebanowy sekretarzyk inkrustowany płytkami z kości słoniowej, na których widniały postacie z *Tańca śmierci* Hansa Holbeina¹⁰ — jak powiadali niektórzy, wyrte ręką samego mistrza.

Ale karzelek ani trochę nie dbał o cały ten splendor. Nie oddałby swej róży za perły z baldachimu, nie oddałby choć jednego płatka za sam tron. Chciał jedynie zobaczyć się z infantką, zanim przejdzie przez pawilon, by poprosić ją, żeby odeszła z nim po jego tanecznym występie. Tu, w pałacu, powietrze było ciężkie i zastałe, w lesie zaś wiatr hulał swobodnie, a promienie słońca poruszały drżące liście swymi złotymi palcami. W lesie też były kwiaty, może nie tak wspaniałe jak te w ogrodzie, ale o słodszy zapachu: hiacynty, które wczesną wiosną zalewały fioletem chłodne wąwozy i trawiaste pagórki; żółte pierwiosnki porastające kępkami sękatę korzenie dębów; promienne jaskółcze ziele, niebieskie kwiatki przetaczników, irysy złote i jasnofioletowe; szare kotki na leszczynie i naparstnice, których kwiaty ugięły się pod ciężarem pszczół odwiedzających ich przęci-ki. Na kasztanowcach zakwitały iglice białych gwiazd, a na głogach piękne, białe księżycy. Tak, z pewnością poszłaby z nim, gdyby tylko zdołał ją znaleźć! Poszłaby z nim do pięk-

⁹Comprachos (*comprachicos*) (hiszp.) — handlarze ludźmi. [przypis edytorski]

¹⁰Taniec śmierci *Hansa Holbeina* — książka niemieckiego malarza i grafika okresu Renesansu, zawierająca cykl drzeworytów (wyd. 1538). [przypis edytorski]

nego lasu i całe dnie tańczyłby dla niej. Ta myśl wywołała uśmiech na jego twarzy, a jego oczy zaiskrzyły, kiedy wszedł do następnej komnaty.

Ze wszystkich sal ta była najjaśniejsza i najpiękniejsza. Ściany obito adamaszkiem z Lukki¹¹ zdobionym wzorami ptaków i goździków i usianym delikatnymi, srebrnymi kropeczkami; meble z ciężkiego srebra udekorowano wieńcami kwiatów i amorkami; przed dwoma kominkami stały ozdobne parawany, na których wyhaftowano papugi i pawie, a onyksowa podłoga morskiej barwy zdawała się ciągnąć w odległą dal. Nie był tam sam. Stanąwszy w cieniu przy wejściu na samym końcu pokoju zauważył, że obserwuje go niewielka postać. Jego serce zadrżało, krzyk radości wyrwał mu się z ust i wyszedł z cienia. W tym samym momencie postać też się poruszyła i ujrzał ją wyraźnie.

Lustro

Infantka! To potwór, najbardziej karykaturalny potwór, jakiego kiedykolwiek widział. Jego ciało nie było takie jak innych ludzi — było zdeformowane, zgarbione, powykręcane, z ogromną, przekrzywioną głową i grzywą czarnych włosów. Karzełek zmarszczył brwi, potwór zrobił to samo. Zaśmiał się, potwór śmiał się razem z nim, kładąc ręce na bokach, zupełnie tak jak on. Skłonił się szyderczo, a potwór odwzajemnił niski pokłon. Podszedł do niego, a potwór naśladował każdy jego krok, zatrzymując się wtedy, kiedy on się zatrzymywał. Krzyknął z uciechy i podbiegł do przodu, wyciągnął rękę i dotknął nią dłoni potwora. Była zimna niczym lód. Przestraszył się i przesunął dłonią w bok — dłoń potwora szybko za nią podążyła. Próbował napierać dalej, ale coś gładkiego i twardego stawiało mu opór. Twarz potwora, teraz tak blisko jego własnej, wyglądała na przerażoną. Odgarnął włosy z oczu. Potwór skopiował jego ruch. Uderzył potwora, ten odpowiedział uderzeniem. Karzełka brzydziła wykrzywiona w grymasie twarz potwora. Wycofał się, a potwór zrobił parę kroków w tył.

Co to takiego? Zastanawiał się przez chwilę, rozglądając się po pokoju. To dziwne, ale wszystko miało swój odpowiednik w niewidzialnej, przezroczystej ścianie wody. Tak, każdy obraz był tam powtórzony, każda kanapa. Śpiący faun w niszy przy drzwiach miał drzemiącego brata bliźniaka, a srebrna Wenus stojąca w słońcu wyciągała ramiona do innej Wenus, równie pięknej jak ona.

Czy to Echo? Kiedyś w dolinie zawołał do niej, a ona odpowiedziała mu słowo w słowo. Czy umie przedrzeźniać oko tak samo jak głos? Czy może stworzyć świat, który naśladuje ten prawdziwy? Czy cienie mogą mieć kolory i życie, i ruch? Czy też może... — ?

Zadrżał, odwrócił się i pocałował piękną białą różę, którą przyciskał do piersi. Potwór miał własną różę, płatek w płatek taką samą! Pocałował ją tak jak on i przycisnął do serca szkaradnym gestem.

Kiedy zrozumiał prawdę, wydał z siebie szalony okrzyk rozpacz i łkając padł na ziemię. A więc to on był tak zdeformowany i zgarbiony, karykaturalny i wstrętny. To on był potworem, to z niego wszystkie dzieci się śmiały, a księżniczka nie kochała go, tylko wyśmiewała jego brzydotę i powykręcane ciało. Czemu nie zostawili go w lesie, gdzie żadne lustro nie pokazałoby, jak jest obrzydliwy? Czemu ojciec go nie zabił, zamiast sprzedawać i skazywać na taki wstyd? Gorące łzy spływały mu po policzkach, białą różę podarł na strzępy. Leżący potwór zrobił to samo, po czym cisnął lekkie płatki w powietrze. Monstrum czułgało się po posadzce, a gdy na nie spojrział, obserwowało go z twarzą pełną bólu. Odsunął się, by nie musieć na nie patrzeć i zasłonił oczy rękami. Dowłókl się niczym zranione zwierzę do cienia i leżał, pojękując.

W tejże chwili infantka i jej towarzysze weszli do komnaty przez otwarte drzwi. Kiedy zobaczyli brzydkiego karzełka, który leżał na ziemi i bez opamiętania walił pięściami o podłogę, wybuchnęli śmiechem, otoczyli go wkoło i przyglądali mu się.

— Jego taniec był zabawny — powiedziała infantka — ale jego gra aktorska jest jeszcze zabawniejsza. Doprawdy, jest prawie tak dobry jak marionetki, choć trochę mniej naturalny. — Zatrzepotała dużym wachlarzem i zaczęła bić brawo.

Ale karzełek nie podniósł wzroku, a jego płacz stawał się coraz cichszy. Nagle westchnął i złapał się za bok. Później znowu upadł i leżał w bezruchu.

— To było znakomite — powiedziała infantka po chwili milczenia — ale teraz musisz dla mnie zatańczyć.

¹¹Lukka (Lucca) — miasto w Toskanii, niegdyś ośrodek produkcji jedwabniczej. [przypis edytorski]

— Tak! — wołały dzieci — musisz wstać i tańczyć, bo jesteś równie zmyślny jak małpki, ale o wiele śmieszniejszy.

Lecz karzełek nie odpowiadał.

Infantka tupnęła nogą i zawołała stryja, który przechadzał się po tarasie z szambelaniem, czytając depesze nadane z Meksyku, gdzie niedawno powołano Święte Oficjum.

— Mój śmieszny karzełek się dąsa — płakała — Musisz go obudzić i kazać mu dla mnie zatańczyć.

Uśmiechnęli się i weszli do komnaty. Don Pedro schylił się i spoliczkował karła haftowaną rękawiczką.

— Rozkazuję ci tańczyć, potworku. Infantka Hiszpanii i Indii pragnie być zabawiana. Ale karzełek już się nie poruszył.

— Trzeba go wychłostać — powiedział ze zniecierpliwieniem don Pedro i wrócił na taras.

Ale szambelan miał poważną minę. Klęknął przy karzelku i położył rękę na jego sercu. Po chwili wzruszył ramionami, powstał i ukłoniwszy się Infantce, powiedział:

— *Mi bella Princesa*, twój zabawny karzełek nigdy już nie zatańczy. Wielka to szkoda, bowiem był tak brzydki, że rozbawiłby nawet króla.

— Ale dlaczego już nie zatańczy? — ze śmiechem spytała infantka.

— Ponieważ pękło mu serce — odpowiedział szambelan.

Infantka zmarszczyła brwi, a jej drobne, różowe usteczka uroczo wykrzywiły się ze wzgardą.

— Na przyszłość należy dopilnować, by nikt, kto bawi się ze mną, nie miał serca — zawołała i wybiegła do ogrodu.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/oscar-wilde-urodziny-infantki/>

Tekst opracowany na podstawie: Oscar Wilde, Szczęśliwy książę i inne baśnie, Wydawnictwo Wehikul Czasu, Grupa przekładku literackiego Book to World, Warszawa 2016.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Stawiarska, Aleksandra Kopec-Gryz, Maria Świetlik, Paulina Choromańska, Zuzanna Pyzikiewicz.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).